

Krzysztof Varga
Jestem z Polski
To znaczy skąd?

Jestem z Polski, łatwo powiedzieć, ale jak się chwilę i w miarę głęboko zastanowić nad sensem takiej wyraźnej deklaracji, nad znaczeniami, które ze sobą niesie, to nagle robi się duszno, krwawy pot zaczyna pokrywać ciało, dostępuje do nas jeśli nie smutek czy depresja to na pewno jakaś przykra refleksja, nadwiślański rodzaj ciężkiej melancholii. Określić się w ten sposób to wymaga jednak pewnej odwagi, samozaparcia, o wiele trudniejsze to jest niż się na pozór wydaje, ponieważ trzeba powiedzieć: tak, jestem z tego dziwnego kraju, zamieszkanego przez naród, który żyje w przekonaniu, że świat go nie rozumie, choć przecież jest narodem wybranym, a jednocześnie narodem, który sam do siebie ma nieustające pretensje i sam siebie serdecznie nie cierpi, narodu splątanego w kokon megalomanii i kompleksu niższości zarazem. Powiedzieć: „Jestem z Polski” to, niestety, dla mnie przynajmniej, powiedzieć: Jestem z oszalonego na punkcie swojej historii kraju, który uwielbia epatować pięknem swej duszy, krwawymi strzępami swego bohaterskiego serca, jednak z porządkiem przestrzeni, architektury, z pięknem każdego kolejnego metra i kilometra jakie co dzień pokonujemy, ma problem zasadniczy, fundamentalny i w dziwny sposób metafizyczny. A przecież nie będziemy tu rozmawiać o naszej nieszczęsnej historii, bo nie z malarstwem historycznym, nie z obrazami batalistycznymi mamy tu do czynienia, ale ze współczesną fotografią, artystyczną i dokumentalną zarazem. Idzie chyba o to, że jeżeli ma się bałagan w sercu i nieporządek w duszy, to nie da się zrobić porządku wokół siebie, w jakiś sposób zarządzać tym, co nas otacza, chaos w głowie musi przełożyć się na chaos przestrzeni.

Nie mam wątpliwości, że jako Polacy w masie swojej nie mamy zupełnie drygu do estetyki, czy też raczej nasz smak estetyczny dziwnego, tajemniczego i groźnego jest pochodzenia. Każdy kto podróżował trochę po Europie, zauważy łatwo, że coś tu u nas nie gra z przestrzenią, że inaczej niż pozostałe narody pojmujemy porządek przestrzenny, architekturę, inaczej kadrujemy widoki.

Przestrzeń nas przeraża i na swój pogański, ludyczny sposób usiłujemy ją oswoić, rozbroić, narzucić jej kostium brzydoty, w której czujemy się bezpiecznie. Nie zniewoliły nas obce armie, zaborcy, okupanci, nie zniewoliły nas też jednak estetyczne zasady kompozycji przestrzennej; tocząc nieustanny bój o swoją osobną tożsamość, prowadzimy ciągłą wojnę z zasadami, które nam ktoś usiłuje narzucić. Nasze nieuporządkowanie, nasz niezmienny bigos, jaki wokół siebie tworzymy, daje nam poczucie wolności, a jednocześnie przecież pokazuje nasz niepokorny indywidualizm, przejawiający się tym, że znaleźć jakiś wspólny porządek w tej polskiej przestrzeni prawie jest niepodobna. Często wszak chwalimy się, że jesteśmy narodem indywidualistów, którzy jednoczyć się potrafią jedynie w sytuacji zagrożenia, dobrą wiadomością jest więc to, że zagrożenia nie ma, złą – że nasz indywidualizm korzysta z tego i ociera się o szaleństwo.

Rzecz ciekawa: ten chaos pogłębia się jeszcze i rozrasta od kiedy uzyskaliśmy pełną wolność, ostatnie ćwierćwiecze to przecież triumf nieposkromionej inwencji twórczej w psuciu, szpece-niu przestrzeni, psuciu prywatnym i publicznym, choć brawurowym, nieokietznym.

Te zdjęcia w zasadzie mogłyby zostać zrobione gdziekolwiek. Wojtek Wieteska mógłby nazwać tę wystawę „Jestem zewsząd” albo „Jestem skądinąd”, jednak zdecydował się przyznać otwarcie „Jestem z Polski”, a więc niosę na plecach garb polskości, który uwiera, ale przecież innego garbu już nieść nie będę, jestem skazany akurat na ten ciężar, tak wyszło. Ale przecież te fascynujące fotografie jednak nie mogłyby być zrobione w innym miejscu niż Polska, na tym opiera się dziwny paradoks tej sztuki. Można strawestować podtytuł słynnej sztuki Alfreda Jarry Rzecz dzieje się w Polsce, czyli nigdzie, choć zdjęcia Wojtka Wieteski jednocześnie mówią nam: „Rzecz dzieje się w Polsce, czyli wszędzie”. Polska bowiem to nie są granice, emblematy, flagi, Polska to jest pewien stan umysłu, stan spokojnego zbiorowego szaleństwa. Polska

to jest specyficzny ogląd świata, koślawe postrzeganie rzeczywistości i cudaczne, mistyczne, pogańskie tej rzeczywistości budowanie, nie da się ukryć: jest w tym jakieś rozczulające piękno. Wieteska bowiem podchodzi do tego świata z czułością, tak właśnie, z czułością. Nie szuka brzydoty, która ładnie się sprzedaje, jak wiadomo brzydota jest fotogeniczna, brzydota zawsze ładniej wychodzi na zdjęciach niż to, co w sposób oczywisty ładne. Jednocześnie ucieka od wyraźnej identyfikacji tej polskości poprzez jej emblematy, byłoby to właśnie zbyt łatwe. Tak więc nie uświadczymy tu wielkich procesji, orłów, sztandarów, wzmożenia narodowego, krzyży, pomników, tego wszystkiego co się na pierwszy rzut oka z polsnością i Polską kojarzy, a co jest myśleniem sztamowym przeciw, za łatwym, za oczywistym. Osobność tego projektu artystycznego polega też na tym, że właściwie nie istnieje tu żaden – całe szczęście! – kontekst polityczny. Świat uchwycony przez Wieteskę, mimo że opatrzony datami, funkcjonuje poza zdarzeniami i poza czasem. Wieteska akceptuje tę Polskę, on ją lubi i ja to rozumiem, bo przecież oglądając te zdjęcia, akceptuję świat widziany okiem Wieteski, to jest Polska spokojna. Właśnie spokój przede wszystkim wytłania się z tych zdjęć, w kraju nieustannie niespokojnym, który wciąż żyć musi w napięciu i rozedrganiu, Wieteska znalazł prawdziwe oazy spokoju. Jest zaduma, jest tragedia, jest śmierć, choć pod postacią martwej świni i padłego konia, jest jednak nade wszystko dziwny pozaczasowy spokój. A teraz powiem rzecz straszną: ludzie na tych zdjęciach noszą w sobie potencjał szczęścia. Nie wiem, czy są szczęśliwi, ale wiem, że mogą być szczęśliwi, a to już w naszym kraju prawdziwie rewolucyjna wizja.

Ten album mówi do odbiorcy: oto zbiór fragmentów, utóż sam sobie swoją Polskę z tych kawałków. I każdy może swój własny obraz stworzyć z tych elementów, które nam Wieteska daje i każdy z tych obrazów jakoś inny będzie. Właściwie można by wydać ten album także w formie luźnych fotografii, aby każdy oglądający mógł sam sobie je poukładać, tworząc indywidualny obraz, dyskutować w ten sposób z Wieteską. Album Wieteski jest mocno osobisty i każdy kto go ogląda powinien mieć szansę także przeżywać go osobiście i subiektywnie.

Wojtek Wieteska fotografował cierpliwie Polskę od 1986 roku po dziś, cierpliwie i właśnie spokojnie, całą epokę wielkiej zmiany i przepoczwarczenia się Polski z szarej, smutnej larwy w kolorowego znarkotyzowanego motyla, kraj z przasnego realnego socjalizmu przechodzący w oszalaty, pstrokaty i dziki słowiański kapitalizm. A jednak przecież kiedy ogląda się te zdjęcia, popada się w zdumienie, że po prawdzie nic się nie zmieniło, że jeśli zaszła jakaś rewolucja, to jedynie fasadowa, w swoim najgłębszym jestestwie Polska nie stała się innym krajem.

Oglądając album Wieteski, ciągle myślałem, że coś mi tu nie pasuje, że przecież to powinno wyglądać inaczej, od pierwszych zdjęć z 1986 roku po zdjęcia najnowsze upłynęło zbyt dużo czasu, żeby nie dało się zauważyć wielkiej zmiany w tym kraju i rzeczywiście, jak się przyjrzeć, to widać zmianę, ale przecież jedynie w szczegółach, w ukrytych gdzieś w drugim planie detalach. Wieteska nie poszedł na kuszącą tawiznę, aby pokazać, jak zmieniała się polska ulica – od polowych łózek z majtkami i ulicznej sprzedaży rąbanki z ustawionych przed nyskami stołów po szklane wieżowce z biurami wielkich korporacji i witryny eleganckich sklepów snobistycznych marek ubraniowych. To byłoby zbyt łatwe, beznadziejnie banalne, takie rzeczy bardziej obraz zamazują niż go tłumaczą. Wieteska pokazał raczej, że zmienia się jedynie właśnie detal, a ogólny obraz pozostaje ten sam, tak jak ze starą kamienicą: fasada odpicowana na różowo, a od podwórka pleśń, grzyb i pajęczyna, ale właśnie podwórko jest prawdziwe a nie fasada. Oglądając Polskę nie wystarczy rzucić okiem na fasadę, trzeba wejść w podwórko i tam kontemplować prawdziwość. Co chyba nie jest najlepszą wiadomością dla wyznawców wiary, że Polska zmieniła się w tym ostatnim ćwierćwieczu fundamentalnie, że po prawdzie jest to zupełnie inny kraj. Nieprawda, zmienił się jakiś ogólny sztafaż, ale kraj pozostał ten sam, dlate-

go że kraje nie zmieniają się z roku na rok, kraje zmieniają się przez długie dekady, przez stulecia. Nie idzie mi o to, żeby upierać się tu przy brzydkości Polski, bo to też byłoby zbyt proste, usiłuję powiedzieć tylko, że fotograf, który chce dać pełen obraz świata, musi pokazywać go poprzez detal. Fotografie, które nie wymagają od oglądającego żadnej własnej interpretacji, nie są ciekawe, szybko o nich zapominamy, przecież nie o to chodzi, żeby obejrzeć sobie zdjęcia z tego albumu, pokiwać głową i mieć sprawę załatwioną. Chodzi o to, że oglądanie tych zdjęć to dopiero początek pracy. Tak właśnie miałem z albumem Wieteski – najpierw szybko obejrzałem, spodobały mi się, skończyłem oglądać, a potem pomyślałem: chwileczkę, to dopiero teraz zaczyna się myślenie o tych zdjęciach i teraz właśnie myślę o tych zdjęciach nawet wtedy, gdy ich akurat nie oglądam.

Szokujące wręcz jest to, jak dużo z tych zdjęć zrobionych zostało w Warszawie, szokujące dlatego, że przecież na większości z nich – ja, warszawiak – Warszawy nie rozpoznaję, że rozbijają one mój Warszawy ogląd, i nie tylko mój, choć mówią jednocześnie o tym, co dla Warszawy niezmiennie i korzenne. Mam na myśli jej specyficzny, osobny, wielkomiejski prowincjonalizm. Ile byśmy jeszcze tu nie postawili wieżowców i hoteli, ile banków, agencji reklamowych, butików słynnych kreatorów mody, to Warszawa zawsze będzie niosła ze sobą tę potężną prowincjonalność miasta na pograniczu Wschodu i Zachodu, miasta, które swoją tożsamość czerpie właśnie z tej przejściowości, bycia posterunkiem granicznym pomiędzy dwoma cywilizacjami, nie przynależącym w pełni ani do jednego, ani do drugiego, choć jednego się wstydzi, a do drugiego aspiruje. Warszawa to jest miasto na ruchomych piaskach, które wciąż się przesuwa, gdzie nie można zaznać stałości. A przecież zdjęcia Wieteski porządkują ten chaos, w dziwny sposób wszystko wraca tu na swoje miejsce, jest tam, gdzie być powinno. Taka jest Polska i innej Polski nie będzie.

Krzysztof Varga urodził się w 1968 roku w Warszawie. Pisarz, felietonista. Opublikował powieści *Chtopa* (nie płaczą (1996), *Śmiertelność* (1998), *Tequila* (2001; książka znalazła się w finale Nagrody Literackiej Nike 2002), *Karolina* (2003) i *Nagrobek z lastryko* (2007). Za tę ostatnią autor otrzymał nagrodę Książka Zimy 2006/2007. W 2008 roku opublikował *Gulasz z turula* (2008), za który otrzymał nagrodę czytelników Nike 2009. W 2010 roku ukazała się jego powieść *Aleja Niepodległości*, a w 2012 powieść *Trociny*.